

KAMIENNA GÓRA

MIASTO LANGHANSA

Dwumiesięcznik Szkolnego Koła Miłośników Historii Lokalnej w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Kamiennej Górze
Nr 4 (46) IX-X 2012 / Ukazuje się 5 razy w roku szkolnym / Rok założenia: 2003

Historyczno-edukacyjna podróż belgijskiej rodziny do Kamiennej Góry

Przepraszam, że ten e-mail został napisany po angielsku. Mam nadzieję, że historia w nim zawarta spowoduje, że poświęci Pan [Jacek Bruździak – dyrektor ZSO] kilka minut swojej uwagi.

Martin Wolff urodził się w 1922 roku w mieście Landeshut (obecnie Kamienna Góra). W 1942 roku jego matka, ojciec i mały brat zostali deportowani z Wrocławia do getta na wschodzie Polski. Zgromadzono ich wśród innych ludzi na placu obok synagogi i wywieziono najpierw do wsi Izbica (65 km od Bełżca), a następnie do Bełżca (nieдалeko obecnej granicy pomiędzy waszym krajem i Ukrainą), gdzie prawdopodobnie zginęli. Ostatni kontakt **Martina** z rodziną był drogą pocztową, kiedy to otrzymał od rodziców pocztówkę ze wsi Izbica z prośbą o przysłanie im żywności. Nie ma dokumentów świadczących o tym, że zginęli oni w Bełżcu, ale wiadomo jest, że stacja kolejowa w Izbicy była ostatnim przystankiem przed dotarciem do Bełżca. Sam **Martin Wolff** był deportowany do Auschwitz w roku 1943, gdzie pracował w miejscu o nazwie Monowitz. Pod koniec II wojny światowej został wywieziony do obozów w Buchenwald i Dora (Nordhausen, Niemcy). Po wyzwoleniu obozu w Dora próbował wyjechać do Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkała jego siostrzenica [lub bratanica]. W Antwerpii uzyskał od władz belgijskich kartę bezpieczeństwa, co oznaczało, że nie mógł wyjechać do USA. Umieszczono go w ośrodku socjalnym dla lokalnej społeczności, gdzie **Martin** poznał **Martę van Damme**, która została jego żoną. Mieli siedmioro dzieci. Resztę życia spędzili w pięknym mieście Gent.

Na początku rodzina była raczej biedna. Od połowy lat 50-tych minionego wieku **Wolff** otrzymywał dodatkową emeryturę od rządu niemieckiego. To umożliwiło mu podróż do Goerlitz w celu podjęcia próby odzyskania dóbr rodzinnych (dziadków ze strony matki). Jednak w okresie istnienia NRD nie było to możliwe. **W 1987 roku Wolff odwiedził wasze miasto wraz z żoną i najstarszą córką**. Po zjednoczeniu Niemiec [w 1990 roku] miał więcej szczęścia. Odzyskał dom i natychmiast go sprzedał.

Wrócił do Belgii, by po jakimś czasie pojechać do Stanów Zjednoczonych, do swojej siostrzenicy [lub bratanicy]. W drodze powrotnej miał problemy z sercem, a kilka dni później zmarł (11 sierpnia 1992 roku). Jego żona żyła jeszcze przez 20 lat. Otoczona opieką siedmiorga swoich dzieci, zmarła w zeszłym roku (5 marca 2011).

Dzieci **Martina i Marty**, ich wnuki oraz prawnuki (razem 32 osoby) zdecydowały się powrócić po latach do miejsc związanych z młodością i historią życia **Martina Wolffa**. Cała podróż zostanie podporządkowana celowi stworzenia reportażu edukacyjnego, zrealizowanego w profesjonalny sposób. Grupa przybędzie do Kamiennej Góry we wtorek 30 października 2012 roku między godziną 11:00 a 12:00, a następnie po południu uda się w dalszą podróż do Wrocławia.

Martin Wolff i jego rodzina mieszkali w domu na rogu ulic A. Mickiewicza i Bocznej. W załączniku do e-maila można zobaczyć na zdjęciach przód i tył budynku (zdjęcia zrobione w kwietniu zeszłego roku). Do Wrocławia (wtedy Breslau) przeprowadzili się w 1936 roku, więc **Martin** uczęszczał do szkoły w Kamiennej Górze do roku 1935. Wtedy to opuścił Kamienną Górę i przeniósł się do szkoły we Wrocławiu, wysłany tam przez swoich rodziców za radą kamiennogórskiej społeczności żydowskiej. Nie była ona zbyt liczna, a żydowskie dzieci były tu dyskryminowane. Z informacji otrzymanych od niego wynika, że swój ostatni rok edukacji w waszym mieście spędził w ogromnym budynku z czerwonej cegły, co pasuje nam do opisu waszej szkoły [przed wojną Volksschule – szkoła ludowa/podstawowa]. Rok później również rodzice **Martina** (wraz z jego młodszym bratem i babcią) przenieśli się do Wrocławia i zamieszkali przy ulicy Sądowej, nieopodal obecnie istniejącego tam więzienia. W 1940 roku **Martin Wolff** pracował w kilku fabrykach na terenie Wrocławia jako robotnik przymusowy. W tym samym roku zmarła jego babcia i została pochowana na żydowskim cmentarzu (który zamierzamy odwiedzić podczas naszej podróży do Polski). W 1941 roku rodzina **Martina** została zmuszona do przeprowadzki do małego pomieszczenia niedaleko synagogi pod Białym Bocianem, którą to niedawno odrestaurowano. Obecnie obiekt ten służy jako muzeum.

Wysyłając Państwu tę wiadomość mamy nadzieję, że szkoła i władze miejskie skorzystają ze sposobności spotkania się z belgijską rodziną. Może dojdzie do spotkania z burmistrzem lub przewodniczącym Rady Miasta? Może będzie zainteresowanie ze strony lokalnej prasy? Może zorganizujecie spotkanie z grupą młodzieży szkolnej, zainteresowanej tą historią?

Rozumiemy, że historia miasta Kamiennej Góry i jej okolic jest bardzo złożona, ale z drugiej strony żyjemy obecnie wszyscy pod wspólnym europejskim dachem.

Aktualnie pracujemy nad tzw. informacyjną mapą drogową dla naszej grupy podróżującej do Polski. Zamierzamy przetłumaczyć notatki tam zawarte na język angielski dla trzech amerykańskich członków rodziny, którzy dołączą do nas podczas tej wyprawy. Oczywiście wyślemy Państwu te zapiski drogą mailową w połowie października.

Jeśli macie Państwo jakieś zapytania lub potrzebne są dodatkowe informacje, możecie Państwo kontaktować się ze mną drogą mailową lub telefonicznie.

Z wyrazami szacunku
Philippe Demeyer (mąż Hilde Wolff, córki Martina Wolffa), Gent, Belgia
Tłumaczenie: Robert Kosiński, anglista w ZSO

Znany historyk z Chełmska Śląskiego

Przodkowie historyka **prof. dr. Felixa Rachfahla** byli rolnikami, nauczycielami i kapłanami. Na świat przyszedł 9 kwietnia 1867 roku w Chełmsku Śląskim jako syn nauczyciela szkoły ludowej (podstawowej) **Josepha Rachfahla** i jego żony **Agnes**, z domu **Deutschmann**.

Po ukończeniu gimnazjów w Kłodzku i Wrocławiu, od 1886 roku studiował historię, ekonomię i nauki prawne na uniwersytetach we Wrocławiu i Berlinie. We Wrocławiu należał do Starej Wrocławskiej Korporacji Studenckiej „Raczeks”. Znani członkowie tej organizacji to m.in. dziennikarz **Max Friedlaender**, pisarz **Karl von Holtei** czy autor ballad hrabia **Moritz von Strachwitz**. W 1890 roku Rachfahl uzyskał doktorat na uniwersytecie wrocławskim za rozprawę naukową pt. „Spór o sukcesję szczecińską w latach 1464-1472”. Trzy lata później (1893) habilitował się na uniwersytecie w Kolonii na podstawie dzieła pt. „Początki brandenbursko-pomorskich warunków życiowych”, gdzie początkowo też jako prywatny docent wykładał historię średniowiecza i najnowsza.

W 1898 roku otrzymał ofertę pracy, z uposażeniem profesora nadzwyczajnego, na stanowisku wykładowcy historii średniowiecznej i najnowszej na uniwersytecie w Halle. Już jako profesor zwyczajny pracował na uniwersytetach: od 1903 roku w Królewcu (Koenigsberg), od 1907 roku w Giessen i od 1914 roku we Freiburgu. W tej ostatniej uczelni został wybrany na stanowisko rektora w roku akademickim 1922/1923.

W 1894 roku w Lipsku Rachfahl opublikował „Historię ustroju Śląska przed wojną 30-letnią”. Dzieło to do dziś jest podstawową syntezą wiedzy w tym zakresie. Rozgłos przyniosła mu też praca o rewolucji w Niderlandach.

Od 1898 roku prof. dr Rachfahl był żonaty z **Julie Petrine Conrad (1879-1910)**, córką kupca z Flensburga **Heinricha Petera Nicolausa Conrada** i jego żony **Juliane Dorothee Amalie**, z domu **Deneken**. Małżeństwo to nie doczekało się potomstwa. Felix Rachfahl chorował na cukrzycę, miał amputowaną nogę. Zmarł w wieku 58 lat w dniu 15 marca 1925 roku we Freiburgu. Chełmsko Śląskie uczciło jego pamięć, fundując na starym budynku szkolnym w rynku, gdzie się urodził, pamiątkową tablicę.

Tłumaczenie: **Paulina Biernacka, klasa III d LO**

Źródło: **Hella Moritz, Kurzbiografien von 100 bedeutenden Persoenlichkeiten aus dem Kreis Landeshut, Wolfenbuettel 2011, s. 48-49.**

Rękopiśmienny przewodnik po klasztorze krzeszowskim z 1956 roku /1/

OPACTWO W KRZESZOWIE. **Anna**, żona **Henryka II Pobożnego**, ufundowała w 1242 roku w dolinie Cedronu, wśród cienistych borów – parafię (gdzie dziś kościół w Krzeszówku) dla czeskich Benedyktynów z Opatowic (czeskich). Ci zagospodarowali tę dolinę – jak to było właściwe u Benedyktynów. Nie czuli się [tutaj] widocznie dobrze z powodu niesprzyjającego klimatu.

W roku 1292 zwrócił się książę świdnicki **Bolko I** do klasztoru OO Cystersów w Henrykowie z prośbą o kilku mnichów dla celów fundacji w swoich posiadłościach (książę Bolko I – rzut pierścieniem).

9 sierpnia tegoż roku przybyło w istocie 12 mnichów pod opatem **Teodorykiem** i wzniosło w dolinie rzeczki Cedron niewielki, drewniany klasztor i kościółek. W roku 1296 fundator położył kamień węgielny pod kościół murowany, który stosownie do przepisów cysterskiego gotyku, miał formę krzyża i nie posiadał wieży.

Książę Bolko postarał się o podniesienie fundacji do godności opactwa i wyposażył je w dobra ziemskie i dochody.

Wiek XIV to okres świetnego rozkwitu i szerokich wpływów opactwa. Napad czeskich husytów w roku 1426 położył kres tej świetności: klasztor leży w gruzach, mnisi zostali wymordowani. Niebawem jednak opactwo się podniosło i powróciło do dawnego znaczenia. Podobnie fatalne były skutki wojny 30-letniej, klasztor został spalony, ale mury kościoła ostały się wśród pożaru. Odbudowany wkrótce kościół uległ ponownie pożarowi w roku 1677, ale tym razem od pioruna.

Pełen energii opat **Bernard Rosa (1660-1696)** nosił się z zamiarem zupełnej przebudowy kościoła w stylu barokowym. Znów doprowadził opactwo do rozkwitu wewnętrznego i zewnętrznego. Sprowadzał sławnych artystów (malarzy, rzeźbiarzy, architektów), którzy wykształcili całe pokolenia im współczesne i ta tradycja trwała aż do sekularyzacji (1810). Ponieważ jednak konieczniejsza okazała się budowa kościoła św. Józefa, ograniczono się do odbudowania kościoła Najświętszej Panny Maryi (Marii) w stylu gotyckim i otoczenia go wieńcem kaplic barokowych.

Wobec odradzającego się na Śląsku katolicyzmu i wzrastających stąd tłumów wiernych, nagliła potrzeba wzniesienia obszernej świątyni na miejscu niewielkiego gotyckiego kościoła. Następcą Bernarda Rosy, opat **Dominik Geyer (1696-1726)** przygotował materiały i fundusze potrzebne do budowy, której jednak nie on miał dokonać. Dzieło to przypadło w udziale opatowi **Innocentemu Fritsch**, który w przeciągu zaledwie siedmioletnich swoich rządów (1727-1734) doprowadził je niemal do końca. Naczelnym architektem był **Antoni Jentsch** z Jeleniej Góry. Opat Innocenty nie dożył chwili poświęcenia nowego Domu Bożego. Akt ten dokonany został w roku 1735 za jego następcy, opata **Benedykta Seidla**, przez arcybiskupa wrocławskiego, kardynała **Filipa Sintendorfa**. Gdy nastąpił dłuższy okres lat spokoju, klasztor uruchomił przemysł Iniański, który był jakby „kopalnią złota” dla ludności. To umożliwiło wystawienie monumentalnych budowli, które do dziś ludzie oglądają z podziwem i czcią. W latach 1774-1777 opat **Placyd Mundfering** zarządził większe prace restauracyjne.

W roku 1810 wybiła dla opactwa Cystersów ostatnia godzina: król pruski skasował je, mnisi musieli opuścić swoją 500-letnią siedzibę. Kościół opacki zamieniono na parafialny. Zagrabiono wspaniały, miedziany dach, mury kościelne wilgotniały i kruszyły się. Wiele też zaszkodziła freskom sklepiennym reperacja podjęta około roku 1860. W roku 1913 wieża północna straciła swój piękny hełm na skutek pożaru, spowodowanego niedbalstwem blacharza. Dopiero w roku 1919 objęli klasztor w posiadanie Benedyktyni usunięci przez rząd czeski z praskiego opactwa Emaus. Nowi mieszkańcy przywrócili budynki do porządku, pokryli kościół i klasztor nowym dachem. W roku 1931 odbudowali spaloną wieżę, wyposażyli kościół w siedem nowych dzwonów. Po 27-letnim tu pobycie, na skutek przejścia tym ziem pod panowanie Polski, musieli opuścić opactwo w roku 1946, a ich miejsce zajęły polskie Benedyktynki, repatriantki ze Lwowa. /cdn/

Elżbieta Gajdosz - emerytowana nauczycielka i była dyrektorka szkoły w Krzeszowie

Od Redakcji: prezentowany tekst został napisany około 60 lat temu na podstawie materiałów udostępnionych z biblioteki klasztornej w Krzeszowie. Do Redakcji trafił za pośrednictwem wnuka **Pani Elżbiety – Przemysława Gajdosza z klasy II b LO.**

Dolnośląskie wulkany

Dawno, dawno temu, a było to w okresie karbonu, wypiętrzały się Sudety. Przed ponad 300 milionami lat u ich stóp rozciągała się tropikalna dżungla z rozwijającą się bujnie w gorącym i wilgotnym klimacie roślinnością.

-Świadectwem tego są, między innymi, pokłady węgla w rejonie Wałbrzycha i Nowej Rudy – mówi dr Marek Awdankiewicz z Instytutu Nauk Geologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego. – Z czasem klimat się zmieniał i w okresie permu stał się gorący i suchy, czego dowodem są obecne w seriach skalnych czerwone osady, charakterystyczne dla środowisk pustynnych i półpustynnych. Gdybyśmy chcieli sobie wyobrazić krajobraz z tamtych czasów, musiałby on przypominać współcześnie istniejący na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych – np. w Arizonie czy Nevadzie.

W czasie karbońskich ruchów tektonicznych nie tylko wypiętrzały się góry, ale i tworzyły zagłębienia, zwane basenami śródogórnymi. Do większych i lepiej zbadanych w Europie należy dolnośląska **niecka śródsudecka między Kamienną Górą, Wałbrzychem a Nową Rudą**.

-W okresie karbonu był tu obszar kontynentalny, o czym świadczą osady wypełniające nieckę na głębokość kilku kilometrów, a mówiące nam, że płynęły tu rzeki, gdzieś tam pojawiały się jeziora i bagniska – wyjaśnia dr Awdankiewicz. – Tam, gdzie w czasie ruchów tektonicznych pojawiały się uskoki, dochodziło do **erupcji wulkanicznych**. **Trudno nam dziś uwierzyć, że na dolnośląskiej ziemi dymiły wulkany, wyrzucając lub wylewając co jakiś czas ze swego wnętrza potoki wrzącej lawy**. W tym okresie było tu kilkanaście takich aktywnych centrów wulkanicznych. Erupcje eksplozywne, w efekcie których wulkany wyrzucały popioły, zdarzały się stosunkowo rzadko. Częściej były one efuzywne – lawa wylewała się z krateru w postaci potoków.

Prowadząc badania geologiczne w niecce śródsudeckiej dr Marek Awdankiewicz doliczył się w okresie karbonu i permu trzech pulsów aktywności wulkanicznej. Najstarszy i najślabszy miał miejsce w początkowej fazie rozwoju śródsudeckiego zapadliska śródogórnego. Do kolejnego epizodu doszło po kilkudziesięciu milionach lat, u schyłku karbonu, kulminacyjna zaś faza nastąpiła już w okresie permu.

W wyniku największej permskiej erupcji na powierzchnię wydostało się kilkadziesiąt kilometrów sześciennych magmy ryolitowej (ryolit jest odmianą skały wulkanicznej bogatej w krzemionkę).

-Dla porównania ilość magmy, która wydostała się w 79 roku z Wezuwiusza i zniszczyła Pompeje oraz Herkulanum, wynosiła tylko kilka kilometrów sześciennych – stwierdza dr Awdankiewicz. –Wiele wskazuje na to, że w wyniku sudeckiej erupcji na pograniczu Czech i Polski, na zachód od Nowej Rudy, utworzyła się kaldera, czyli duże zapadlisko, o średnicy około 10 km. Lawa, która wydostała się na powierzchnię ziemi w postaci popiołu – jej grubość w pobliżu centrum erupcji wynosiła od 300 do 500 metrów – osadziła się na obszarze kilkuset kilometrów kwadratowych. Z pewnością była to lokalna katastrofa, która musiała całkowicie zniszczyć roślinność w tamtym rejonie. **Inne duże erupcje w okresie permskim miały miejsce w zachodniej części niecki śródsudeckiej, w okolicach dzisiejszej Kamiennej Góry, Lubawki i Chełmska Śląskiego. Potoki lawowe, które rozlały się w tych rejonach, miały długość nawet kilkunastu kilometrów i grubość sięgającą kilkuset metrów w pobliżu centrum erupcji**.

W bliższej nam przeszłości geologicznej Dolnego Śląska wulkany dały znać o sobie w okresie trzeciorzędowym, około 15 mln lat temu. Było to związane z powstaniem tzw. strefy ryftowej w zachodniej części masywu czeskiego. W strefie, gdzie skorupa ziemska ulegała rozciąganiu, tworzył się rów tektoniczny, a w nim i na jego brzegach rozwijał się intensywny wulkanizm. Na przedłużeniu tego rowu ku północy – w rejonie Zgorzelca, Jawora, Złotoryi i Legnicy – również rozwijał się intensywny wulkanizm bazaltowy (bazalt to ciemna odmiana skały wulkanicznej, uboga w krzemionkę). Pamiątką po dawnych wulkanach, które już dawno uległy erozji, są pnie magmowe – kanały, którymi magma przedostawała się do krateru. Ostatnie wybuchy wulkanów zdarzyły się na naszych ziemiach 400-600 tysięcy lat temu – tyle liczą sobie przypuszczalnie bazalty występujące w rejonie Łądko Zdroju.

Co nam dzisiaj przypomina o minionej aktywności wulkanicznej na Dolnym Śląsku? Większość wulkanów została w ciągu wielu milionów lat niemal całkowicie zniszczona przez erozję. Jednak pozostały po nich niezwykle twarde skały, będące wynikiem erupcji, które w dalszym ciągu tworzą wyniosłości terenu. **Reliktami dawnego wulkanizmu to okresu permskiego są pasma wzgórz w rejonie Kamiennej Góry i Wałbrzycha – Góry Krucze, Kamienne, Suche, Wałbrzyskie**. Sam Chełmiec nie był wulkanem, ale w tym miejscu lawa przedarła się bardzo blisko powierzchni ziemi i tutaj zakrzepła. **Inaczej stało się w rejonie Starego Lesieńca i Czarnego Boru**. Wprawdzie są tu takie same skały jak na Chełmcu, jednak lawa wydostała się już na powierzchnię i utworzyła potok. Pamiątką tego wydarzenia jest również pasmo wzgórz.

Teresa Bondarewicz

Źródło: „Słowo Polskie”, 26 stycznia 2001, s. VII.

List do Redakcji

W okresie wakacji otrzymaliśmy list od Pana Jerzego Kotlarskiego z Sopotu, pioniera Chełmska Śląskiego w 1945 roku (Czytelnika naszej gazetki), który sięgnął do swojej pamięci i uzupełnił jeden epizod w prezentowanym tekście pt. „Parę słów o tym, kto był pierwszy w Kamiennej Górze”. Panu Jerzemu dziękujemy za kolejny przejaw aktywności!

„Potwierdzam fakt przeprowadzenia akcji przeciw „grupie dywersyjnej” w górach między Lubawką a Jelenią Górą. Ta sprawa była znana w środowiskach polskich w 1945 roku. W akcji brała udział grupa milicjantów z Szymrychu [Chełmska Śl.]. Według otrzymanych informacji w lasach między Lubawką a Jelenią Górą, Niemcy na długo przed kapitulacją szkolili dywersantów w szkole „Wehrwolfu” oraz przygotowywali w górach bunkry zaopatrzone w broń i żywność do długiego przetrwania na terenie zajęтым przez wroga. Położenie jednego z bunkrów było mniej więcej określone. Pierwsza akcja, przeprowadzona w październiku 1945 roku (2 motocykle, samochód dostawczy, 6 ludzi), utknęła w śniegu i wróciła bez rezultatu (jeden motor zepsuł się). W drugiej akcji odnaleziono bunkier z załogą! Po zdjęciu wartownika przez zaskoczenie i bez jednego wystrzału, udało się rozbroić 7 ludzi, w tym kapitana (dowódcę Volkssturmu) oraz radiotelegrafistkę, których sprowadzono związanych do drogi i zatrzymaną ciężarówką aprovizacyjną odwieziono do Kamiennogóry [Kamiennej Góry], a następnie przekazano UB [Urzędowi Bezpieczeństwa]. Bunkier był zaopatrzony w broń i żywność na długoterminowe trwanie. Jeńcy byli w dobrej kondycji fizycznej i psychicznej. Odwrót był szybki, gdyż obawiano się istnienia innych grup dywersyjnych. Jakież ślady tej akcji powinny zachować się w aktach UB. Co się stało dalej – nie wiem, bo byłem już w Gdańsku.”

Parę słów o tym, kto był pierwszy w Kamiennej Górze /4/

Podobny incydent, tym razem w kameralnej sali i bez strzelania, przydarzył się memu Ojcu. Miało to miejsce w restauracji „Bachus”, gdzie przy jakiejś okazji przebywał wraz z moją mamą, jej młodszą siostrą **Zofią** oraz szwagrem **Zbigniewem Dumana**, rozpoczynającym służbę w Milicji. Do ich stolika podszedł „medalowy” żołnierz radziecki, oczywiście upojony alkoholem. Bezceremonialnie zabrał ze stolika kieliszek i opróżnił go. Kiedy Ojciec ze szwagrem ruszyli do niego, ten wyjął pistolet. Nietrzeźwego łatwo było obezwładnić. Skarcony został stosownie do ilości posiadanych medali i wyrzucony na ulicę. Jego pistolet zatrzymał mój Ojciec. Spodziewając się odwetu, wyjął z niego magazynek. Wkrótce rzeczywiście wrócił w towarzystwie trzeźwego oficera i żołnierza. Oficer, o dziwo, chciał załagodzić sprawę. Okazało się, że „medalowy” jest także odznaczony Orderem Bohatera Związku Radzieckiego. Kiedy ojciec przekazywał pistolet oficerowi, „medalowy” wyrwał mu go z ręki i nie wiedząc, że jest bez magazynka, oddał do Ojca „strzał”.

Jeszcze inny siłowy incydent miał miejsce po interwencji mojego Ojca, który przechodząc ulicą Lubawską, zatrzymał ubranego w kombinezon roboczy nietrzeźwego osobnika, tłukącego szyby w parterowych mieszkaniach. Osobnik ów, w chwili zatrzymania miotając po rosyjsku przekleństwa, wyjął spod kombinezonu pistolet. Trwającą chwilę szamotaninę, przy szybkiej pomocy milicjantów wezwanych przez przechodniów, skończyła się doprowadzeniem go do Komendy. Tam okazało się, że pod kombinezonem, poza pistoletem, był także radziecki mundur. Zatrzymany skutecznie został pozbawiony agresji. Powiadomiono komendanturę radziecką. Przed przybyciem ich przedstawicieli, na dyżurkę wtargnęło dwóch innych radzieckich żołnierzy z żądaniem wydania kolegi. Doszło do wielkiej bójki. Z komendantury przybył w pojedynkę oficer, jak się okazało z NKWD, który ostudził Rosjan, bijąc kolbą pistoletu po głowach, a następnie polecił ich związać, mówiąc, że zabierze później.

Posterunek Milicji w Lubawce był jednym z lepiej zorganizowanych pod względem mobilności. Przedsiębiorcza załoga posterunku sprawnie zorganizowała 3 motocykle z wózkami bocznymi. Zdarzył się jednak tragiczny w skutkach wypadek. Jeden z motocykli, jadący w kierunku Kamiennej Góry, na zakręcie drogi zderzył się z samochodem Armii Radzieckiej. Zginęło na miejscu dwóch milicjantów. Okoliczności wypadku wyraźnie wskazywały, że samochód zjechał na przeciwny pas ruchu. Stanu trzeźwości Rosjan nikt nie badał.

Ofiarą rozpasania żołnierzy radzieckich był również sierżant z 29 Pułku Piechoty WP, znajomy mego Ojca. Sierżant nie skrywał faktu, że posiada kilka garści złotych kosztowności. Tajemnicą niech pozostanie, w jaki sposób frontowy żołnierz wszedł w ich posiadanie. Przechowywał je w kieszeniach munduru. Pewnego dnia zwłoki sierżanta znaleziono w studni ogródka, w okolicy dzisiejszej ulicy Słowackiego. Kosztowności w mundurze nie znaleziono. Wcześniej zdarzyła się już nieudana napasa, której sprawcami byli czerwonoarmiści. /cdn./

Czesław Zabiegło, mieszkaniec Złotego Stoku

Tam, gdzie rosną pociski /1/

Najpierw byli tu Niemcy ze swoją fabryką broni, potem, zaraz po wojnie przyjechali Rosjanie. Po Rosjanach, pod koniec lat czterdziestych, zjawili się Polacy. Był Wehrmacht, następnie Układ Warszawski, a teraz jest NATO. Bomby wszystko to przetrwały. Wyrastają z ziemi bez względu na okoliczności, historyczne zawieruchy czy rządzące krajem koalicje. Niekiedy też wybuchają, a wówczas ludziom urywa nogi, ręce; kilka osób zginęło...

Polną ścieżką jedziemy do lasu; po z górą dwóch kilometrach zatrzymujemy samochód i wchodzimy w gęstwinę. Przechodzimy może 10, może 15 metrów, gdy naszym oczom ukazuje się kilkunastometrowej wielkości lej. Nagle pod butami zaczyna coś chrzęścić. Nieprawdopodobne – stoimy na trzech możdziejowych pociskach!

-Tu – opowiada sołtys podkamiennogórskiego Raszowa, **Eugeniusz Benc**, wskazując ręką na lej – Rusczy do 1949 roku wywozili broń z hitlerowskiej fabryki zbrojeniowej w Antonówce. Jak pokopać, można „takiego żelastwa”, jak to pod nogami, wyciągnąć znacznie więcej.

Eugeniusz Benc w Raszowie po raz pierwszy zamieszkał zaraz po wojnie. Potem przeprowadził się do Legnicy, by wrócić do wsi po raz drugi w połowie lat osiemdziesiątych. Kupił dom, dziewięć lat temu został sołtysiem. O bombach wie prawie wszystko, w każdym bądź razie więcej od innych.

Do końca wojny Niemcy produkowali w Antonówce broń i amunicję: pociski artyleryjskie, szable, karabiny maszynowe, pistolety. W 1945 roku obszar rozciągającej się na kilkuset hektarach fabryki zajęło wojsko radzieckie. Teren był silnie strzeżony, a Polacy nie mieli nań prawa wstępu. Przez trzy lata, do roku 1949, Rosjanie wywozili z zakładu broń, składali ją w lesie pod Raszowem i raz na trzy dni detonowali. Eksplozje były tak silne, że w mieszkalnych zabudowaniach Raszowa regularnie wypadały okna...

Po fabryce dziś nic już zostało. Jeszcze nie tak dawno stała otoczona lasem prochownia. Z zewnątrz nie wyglądała okazała, lecz, jak twierdzą miejscowi, zanurzona była w ziemi na siedem pieter i posiadała tunelowe połączenie z oddaloną o trzy kilometry Kamienną Górą. Tunelem jeździła ponoć wąskotorówka (istniało również naziemne połączenie kolejowe z Kamienną Górą; do dziś są jeszcze tory). Wozila do pracy więźniów filii obozu koncentracyjnego w Gross Rosen? Przewoziła wyprodukowaną pod ziemią broń? Tego nie dowiemy się już chyba nigdy.

-Do ciągnących się pod prochownią bunkrów wielokrotnie próbowano wchodzić – opowiada Eugeniusz Benc. – Nikomu jednak nie udało się daleko zejść. Nawet speleologom. Strach...

Potem fabrykę rozebrała miejscowa ludność. Lasy Państwowe pozwoliły wyjąć z jej murów solidne ponemieckie cegły. Pobudowano z nich niejeden dom... Idziemy zarośniętym lasem; teren jest nierówny, pełno w nim wzniesień i uskoków. Przy jednym z drzew odslaniamy krzaki i znajdujemy wejście do tunelu. Schodzimy kilka szczebli po solidnej jeszcze drabince i zavracamy – woda. Takich wejść jest w lesie kilkadziesiąt, niektóre zacementowano, inne zasypano, jeszcze inne – jak właśnie to – pozostawiono odsłonięte do dziś. /cdn./

Zbigniew Rzońca

Źródło: „Słowo Polskie”, 2 kwietnia 1999, s. 5.

Redakcja: Jan Lubieniecki – redaktor prowadzący i opiekun kółka historycznego, wydawcy tej gazетки; **Tomasz Zabłocki** (klasa I d LO) – redakcja techniczna.

Wszelkie prawa zastrzeżone

